

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Pierwsza rocznica Konstytucyi.

Rok rocznie obchodzi naród polski uroczyście rocznicę uchwalenia konstytucyi w dniu 3 maja 1791 r. Pierwsza taka rocznica odbyła się w rok po ogłoszeniu konstytucyi t. j. w 1792 r. a więc jeszcze za panowania króla Stanisława Poniatowskiego w Warszawie. Do uroczystości tej przygotowywano plany od lutego — starano się wystąpić z okazałością nadzwyczajną.

Wrogowie odrodzenia Polski rozpuszczali najrozmaitsze wieści, aby przestraszyć króla i Polaków. Moskale, gdzie mogli, rozsiewali wieści, że w dniu tym będzie wykonany zamach na króla; minister austryacki, Kaunitz, dowodził, że jakobini w Strassburgu postanowili zabić króla wśród obchodu rocznicy itp. zmyślone rzeczy.

Nic dziwnego, że na dworze królewskim był strach wielki. Król spowiadał się, komunikował, pisał testament, wyjeżdżał, jak na śmierć. Dla zabezpieczenia się na wszelki wypadek, zamierzono nakazać, aby podczas procesyi okna w domach od ulicy były pozamykane. Księża radzili, aby przed królem niesiono Przenajświętszy Sakrament. Mimo jednak wszelkich gróźb i wieści złowrogich, nie można było cofnąć uroczystości solennie zapowiedzianej.

Punkt o 9 rano rozpoczęło się w kościele św. Krzyża posiedzenie sejmowe. Króla powitał u drzwi biskup poznański, który też go wiódł, idąc przodem, do tronu. Na obliczu króla widać było trwogę i znękanie. Osunął się ciężko na tron i niezwłocznie posiedzenie zagaił.

Obok tronu ustawili się urzędnicy, oficerowie służbowi; dalej senatorowie i ministrowie siedzieli w krzesłach, a wreszcie na ławach posłowie, komisarze, urzędnicy sądowi itp.

Po zagajeniu rozpoczęło się nabożeństwo. Mszy biskupiej towarzyszyła muzyka. Z ambony przemówił biskup ceyneński, ks. Malinowski. Nagle kościół został ogarnięty ciemnością niemal nocną. Strwożyli się wszyscy — na chwilę milczenie głębokie zapanowało. Gwałtowna burza wiosenna, z wichrem i gradem, zerwawszy się, biła o mury i okna kościoła.— Sprawiło to wrażenie przerażające. Wkrótce jednak nawałnica przeszła, znów zajaśniało słońce, a wraz z tem zabrzmiało »Te Deum«, któremu wtórzyło sto jeden wystrzałów dział, ustawionych za Wisłą, naprzeciw kościoła św. Krzyża.

Po nabożeństwie wszyscy uczestnicy udali się do miejsca, gdzie, na pamiątkę owej uroczystości, miał być położony kamień węgielny pod kościół Opatrzności. Gdy prymas, który celebrował, zbliżył się do kamienia i ukończył poświęcenie, nawałnica ponowiła alarm, niebo zachmurzyło się, lunął deszcz a wicher podniósł zamieć piaskową. Wielu wzięło to za złą wróżbę dla trwałości konstytucyi.

Po pieśni do Ducha św. rozjechali się wszyscy.

Z powodu wieści o zamachu na króla, przez cały dzień po ulicach chodziły ronty i patrole.

Na dzień ten napisał żyjący wówczas Niemcewicz sztukę teatralną p. t.: »Kazimierz Wielki«, którą odegrano wieczorem. Na przedstawieniu był obecny również król Stanisław Poniatowski. Gdy aktor, grający rolę Kazimierza Wielkiego, wyrzekł:

— W potrzebie stanę na czele narodu mego! — wtedy król zawołał głośno:

— Stanę i wystawię się!

Posypały się grzmiące oklaski i okrzyki.

Wieczorem cała Warszawa zajaśniała iluminacyą, wszystkie okna pełne były ludu.

W innych miastach Rzeczypospolitej również święcono uroczyście rocznicę konstytucyi 3-go maja. Obok Warszawy najwspanialej wystąpił Kraków — z nabożeństwem, biciem z dział itp.

*

Odtąd co roku we wszystkich prawie miastach a obecnie i w wielu wioskach rocznica ta bywa uroczyście obchodzona.

Jacek Obrochta.

Opowiadanie starego górala.

Zadziwił się Perłowicz na takie gadanie,
Lecz rady nie posłuchał. A gdy na polanie
Pod skałami stanęli, spyta onej chwili:
— »A czemże wy się gazdo będziecie bronili?
U mnie paliczka w garści, u was gołe dłonie?«
— »Nie turbuj ty się o mnie, już ja się obronię«.

Rzekł gazda i ku skałom biegnie coraz sporzej,
Poły guńki na dużym kamieniu rozłoży,
Drugim wielkim przyciśnie z wierzchu i umyka,
Odziewek się nie rozdarł, lecz jak gumlastyka
Wyciągnął się raptownie poza Wołoszynem
Krętym, na kilkanaście sągów długim klinem,
Który się lśnił do słońca, migotał i mienił,
Aż wreszcie w duży smoczy ogon się przemienił.
Potemu wielkie palce włożywszy do gęby,
Jak szarpnie, aż tu straszny pysk rośnie i zęby;
Trząśnie palcami, a tu i krogulcze szpony;
Podskoczy w górę, patrzy młodzian zadziwiony:
A tu już ani śladu ludzkich nóg z kierpcami,
Natomiast tylko zadnie łapy z pazurami.
I wnet na Perłowicza godzi jadowita
Bestyja, żelaznemi łuskami okryta.
Z pyska ogień wyrzuca i sroży się, ale
Smok do dawnego gazdy niepodobny wcale;
Pozostała jedynie para niezmienionych
Ócz tych samych, co przedtem: zbójeckich, zielonych.

Jak grom Perłowicz ku niemu skoczy,
I wraz paliczką tnie między oczy:
— »A tuś?« i kości we łbie gruchoce,
Pławiąc paliczkę w smoczej posoce.
— »A tuś?« grad iskier ze łba się sypie,
Wyłażą na wierzch zielone ślipie.
Wtedy paliczką w tułów uderza,
Lecą żelazne łuski z pancerza,
Pękają kręgi, kości się kruszą,
Żegnaj się smoku z dyabelską duszą!

Smok zmiarkowawszy: że z nim coś krucho,
Że mu nie ujdzie sprawa na sucho,
Dał za wygraną, »lewo w tył« zrobił
I do ucieczki w tem się sposobił.

Lecz i Perłowicz, nie w ciemię bity,
Odgadł, co myśli smok jadowity,
Zniweczył zamiar, i cóż powiecie,
Że w oka mgnieniu siadł mu na grzbiecie,
I siedzi na nim, jak król na stołbie,
Co sił paliczką krojąc go po łbie.

Rzuca się, wierzga, ryczy pokraka,
Radaby z grzbietu zrzucić junaka,
Ale Perłowicz zamiar zgaduje,
I raz za razem po łbie częstuje:
— »A tuś mi smoku zielonooki?
I nuż paliczką okładać boki,
Potem po grzbiecie gęsto, a szczerze,
Aż się z jaszczura sypią paździerze,
Aż coraz słabiej myrda ogonem,
I coraz wolniej sapie przed zgonem.
Wreszcie w posoce własnej utonął,
I bezecnego ducha wyzionął.

Padł pod ciosami smok jadowity,
Do góry brzuchem — leży zabity,
Z pyska się czarna sączy posoka,
Tak to Perłowicz zwojował smoka.



A gdy zwojował, co rychlej skoczy
Do czarnej izby, do chaty smoczej,
By się rozpytać kucharki starej
O inne jeszcze paczwy, ściwiary,
Wchodzi... Spłakana w progu kobieta,
Drżąc całem ciałem, o smoka pyta:
— »Gdzie smok?«
— »Gdzie? W piekle, chcesz widzieć jego?
Tam, pod skałami ścierwisko z niego.
Pysk rozdziawiony sterczy do góry,
A wkoło leżą łuski, jak wióry«.

Co tchu kobieta z chaty wybieży,
Aby oglądać trup smoka świeży;
Spojrzy ku niemu, aż wtem — o dziwo!
Trup się przemienił w skałę straszliwą,
Którą imieniem smoczem juhasy
Zwą »Wołoszynem« po wszystkie czasy.

Kobieta oczom nie daje wiary,
Lecz, widząc straszny koniec poczwary,
Krzyżem się żegna, wbiega do chaty,
A zawinąwszy w węzełek szmaty,
Smoczej sadyby porzuca progi,
Żegna się znowu i — dalej w nogi!...

— »Matko! a dokąd się tak spieszycie?
Dokąd? hej! stójcież!« — ale kobiecie
Strach nóg dodawał; nie oglądając
Się poza siebie — zmyka jak zając
W dół, ponad Białkę, a na pytanie:
Gdzie? — »Do Jaworek!« i dalej panie
W dyrdy, z kopyta, i pędem burzy
Zmyka, że ino za nią się kurzy.
— »Stój!« woła młodzian, lecz strachem gnana
Czmycha babina, jak opętana.

Puścił się za nią lotem sokoła
Perłowicz i tak zdaleka woła:
— »Stój! wszak uciekać nie masz powodu!
Stój! zamrzesz w puszczy kobieto z głodu!«
Lecz jej nie zgonił; strach babę niesie,
Aż znikła wreszcie w przyległym lesie.
— »Lecisz? to lećże! prowadź ją Boże!
No, no, i czego to strach nie może!?

Wrócił do chaty, cały zadyszany,
Placków do torby nabrał skórzanej,
I jeszcze raz się baby użalił,
A potem smocze gniazdo podpalił.
Kiedy zgorzało, raźno i żwawo
Szedł w górę Białki z paliczką krwawą.

A gdy wieczorne spłonęły zorze,
Stanął przy jakiemś wielkiem jeziorze:
Dokolusieńka brzegów sterczały
Czarne, okrutnie spiętrzone skały,
I smukłe świerki gdzieś się podziały.
Natomiast ujrzał małe drzewiny
Ze szyszeczkami, jak u sośniny.

Młodzian zdrożony, rad użyć wczasu,
Zakłada nocleg na skraju lasu
I do rąbania drew się zabiera.
Lecz się w konarach wikła siekiera,
Bo pnie drzewinek nie są prostemi,
Bo się czołgają prawie po ziemi,
A ich konary w szpilek fryzurze,
Dziwnie w zakosy pną się ku górze.
Więc karłowaty krzew tej sośniny
Przezwał imieniem kosodrzewiny.

I łapał ryby aż do wieczora.
A że też była w głębiach jeziora
Jak kryształ jasnych i jak łza czystych
Moc niezliczona pstrągów srebrzystych,
Lśniących na modrej jeziora szybie,
Więc też jezioru dał nazwę: »Rybie«,
I tak do dziś dnia zwią je górale,
I tak je nadal zwać będą. Ale
Szlachcie się ona nazwa nie zdała,
A więc je »Morskiem Okiem« przezwała.

Smacznie Perłowicz przespał noc całą.
A gdy nazajutrz prawie już dniało,
Wstał, pacierz zmówił, potem na prawo
Po bystrej zboczy drapał się żwawo
W górę, ku wierchom, po turni srogiej
Innej bo tutaj nie było drogi.
W prawo i w lewo szare granity,
Czarne otchłanie i śnieżne szczyty.
Piął się więc po nich Perłowicz śmiały
Z niemałym trudem przez ranek cały.
Aż po godzinach czterech bez mała
Doszedł do miejsca, kędy leżała
Wielka gromada brylantów lśniących
I łusek srebrnych, w słońcu iskrzących.
Lecz go łakomstwo nie zdjęło przecie,
Bo plunął na to wężowe śmiecie
I nogą kopnął.
Wtem z poza zboczy
Paczwa rozjadła ku niemu skoczy:
W mniszej postaci, w zakonnej burze,
W czarnym, spuszczonym na łeb kapturze,
Iskrzącem okiem groźnie połyska,
Dłonie kościste w kułak zaciska
I tak ta, z piekła rodem, szkarada
Na Perłowicza obces napada.

— »A tuś poczwaro? czarny hołubie!«
I jak nie wytnie paczwę po czubie,
Tak krwią policzki koniec zczerwieniał,
I łeb odleciał, a Mnich skamieniał.
Odrosła jemu, co prawda, nowa
Ale już tylko kamienna głowa;



Żywa, zmieciona dzielnym zamachem,
Z gębą, skrzywioną nagłym przestrachem,
Nabrała, lecąc, pędu takiego,
Że od tej chwili do dnia sądnego
Toczyć się będzie ku ludzkiej biedzie
Po całych Tatrach i po Beskidzie.

A kto ją spotka w górskiej krainie,
Tego nieszczęście pewno nie minie;
Bo za tym wszelkiej klęski zwiastunem
W ślad idzie chorość, z śmierci całunem.

Młodzian, mijając głazy, piargi i wykroty,
Wydrapał się nareszcie na najwyższe szczoty.
Gdzie spojrzy, wszędzie tylko kamienne turniska,
Na których dyamenty i srebro połyska.

Pod turniami tu, owdzie jeziora i zdroje,
Niezawodnie to Króla Wężów wodopoje?
Cóż z tego? skoro jego nie widać samego!
I jął po wierchach szukać wroga śmiertelnego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwa aniołki.

Bardzo dawnemi czasy żyło w mniejszej tatrzańskiej wsi sierot dwoje: Jasiek i Anusia. Smutną była ich dola; matka ich opuściła wskutek wielkiego nieszczęścia, jakie na nią spadło, poszła gdzieś w świat szukać zajęcia i chleba, dzieci zostawiła na opiece sąsiadki, myślała, że powróci, lecz minął rok jeden, drugi, trzeci, nikt nawet o niej więcej nie słyszał.

Ojciec jeszcze przedtem został zabity w wojnie, nad dziećmi pozostał tylko Bóg w niebie, który jest przecie najlepszym i najczulszym sierot opiekunem. Małe dzieciaki nie zaznały biedy u sąsiadki, bo to była kobiecina zamożna i dobra, a własnych dzieci nie miała i tem szczerzej się opiekowała. Najmilej dzieciom było w południe, gdy ich opiekunka wracała z pola i usiadła z niemi na ławie do posiłku południowego.

Dawała im wtedy smaczne kąski, gładziła ich małe główki, wypytywała się, jak się podczas jej nieobecności bawiły. Jakże im dobrze, jak z nią wówczas dobrze było i swobodnie. Ale nic na świecie nie trwa długo.

Dzieci biegały razem na łąkę i zbierały różowe i białe kwiateczki, ze zboża wyrywały kąkol i bławatki z brzegu, uważając, by nie zdeptać zboża. Jasiek nigdy się nie bawił bez Anusi, a ona nawzajem nigdy nie wychodziła nawet na podwórko bez niego.

Raz jakiś niedobry chłopczysko rzucał kamieniami w podwórze, gdzie na piasku siedział Jasiek i budował pałace dla Anusi. Dzieci prosiły go, aby dał spokój, ale zły chłopiec nie zwracał nawet uwagi na te prośby. Przelękły się dzieci i chciały uciekać do chaty, ale w tej samej chwili kamień ugodził Jaśka w głowę. Uczuł nieborak okropny ból, a złapawszy się za głowę, pobiegł do chaty. Anusia popędziła za nim. Nie doszedł do izby, upadł na progu omdlały, krew mocno się sączyła ze zranionej głowy.

Anusia nachyliła się nad nim i zaczęła prosić, by wstał, ale Jaś nie słyszał tych próśb. Nikogo nie było w chacie, Anusia przerażona pobiegła do drugiej chaty i zawołała sąsiadkę. Ta, usłyszawszy, co się stało, rzuciła swoją robotę i natychmiast pospieszyła za Anusią. Biedny Jaś już zaczął przychodzić do przytomności, ale jęczał bardzo z bólu. Sąsiadka mu skrwawioną twarz wodą obmyła, umaczała chustkę w zimnej wodzie i obłożyła nią głowę a potem zaniosła dziecko do izby i położyła na tapczanie. — Po chwili Jasiek przestał jęczeć i zdawało się, że usypia. Niebawem nadeszła opiekunka.

Jakże się przeraziła, gdy zobaczyła, co się dzieje. Biedna Anusia siedziała przy tapczanie i zanosiła się od płaczu. Jaś uśmiechnął się na widok opiekunki, ale mówić nie mógł. Wieczorem dostał mocnej gorączki a w nocy żyć przestał. Anusia nie odstępowała jego łóżka. Sierotka nie chciała się rozłączyć ze swoim braciszkiem nawet teraz, gdy już nie żył. Prosiła Boga, by jej nie zabierał braciszka, bo z kimże pójdzie na pole po kwiatki na wianuszek do obrazu Matki Boskiej?

Ale nieszczęście samo nie przychodzi, najczęściej idzie za niem drugie i trzecie. Jeszcze nie pochowano Jaśka, a w chacie opiekunki sierot wybuchł okropny pożar, ratowali sąsiedzi, co się dało. Anusia siedziała wciąż przy braciszku, rękami go od ognia zasłaniając, ale ogień objął już ich oboje, a z ratunkiem nikt nie przybywał. Belki pułapu zaczęły trzeszczeć i padać na tych dwoje sierot, na środku izby się znajdujących. Nikt nie wiedział, co się potem stało. A tymczasem do nieba przybyło dwoje ślicznych aniołków. Były to sierotki ze wsi tatrzańskiej. Jakże się czuły szczęśliwe, zobaczywszy się razem w niebie. Trochę im tylko tęskno było za wyniosłemi pięknemi górami. Wtedy rzekł do nich Pan Jezus:

— Kochacie wasze góry?

— O bardzo!

— Chcielibyście zobaczyć je jeszcze?

— O pewnie!

— Idźcie tedy — rzekł Pan Jezus, ręce im kładąc na jasne główki. — Leciały sierotki długo, długo, aż znalazły się wśród pięknych Tatr i zatrzymały się tuż przy lesie. Pan Jezus zamienił je w dwa białe, wonne kwiatki, tatrzańskiemi fiijołkami zwane, a potem, gdy już zima zaczęła się srożyć po górach, napowrót przywołał je do nieba.

Pływające góry lodowe.

Straszna katastrofa, jakiej uległ „Titanic", największy na kuli ziemskiej parowiec, w przerażający sposób maluje niebezpieczeństwa, na jakie narażone są okręty, podróżujące po oceanie Atlantyckim. — Z chwilą gdy wiosenne promienie zaświecą nad polami podbiegunowemi, olbrzymie zwały lodowe odrywają się od niestajałej nigdy masy śnieżnej i pędzą w stronę południową. W czasie wiosennym zapełnia się więc ocean błądzącemi górami.

Marynarze podają wprost zadziwiające cyfry tych ławic. I tak na półwyspie w północnej Ameryce, Labradorze, naliczono ich w ciągu jednego dnia 150, o długości dosięgającej często 10 kilometrów. Olbrzymia masa góry wystercza ponad poziom wody na 20 do 30 metrów, a jeśli zważymy, że ledwie ósma część wychyla się na powierzchnię, będziemy mieli pojęcie o rozmiarze. W r. 1902 parowiec „Pelican" spotkał pływającą ławicę na 15 kilometrów długą, a na 80 wysoką. W r. 1903 angielski statek wojenny „Charybda" zetknął się z większym jeszcze potworem, bo na 100 metrów wysokim. W dzisiejszych czasach okręty, napotkawszy na swej drodze lodowe góry, podają natychmiast innym statkom wiadomości o nich, stosując telegraf bez drutu. Pomimo jednak tych ostrożności, żaden okręt nie może być pewny, czy w porze zmiennych wiatrów nie spotka się z tem mroźnem widziadłem. W dzień, gdy zdala jeszcze można zobaczyć olbrzyma, nie przedstawia on niebezpieczeństwa, gdyż łatwo go można wyminąć, nocą jednak, podczas mgły, najdoświadczeńszy marynarz nie uniknie zguby. Żeglarze odczuwają wprawdzie zbliżanie się lodowego potwora przez gwałtowne zniżenie temperatury, ale często czucie zawodzi, lub w krytycznej chwili trudno rozróżnić, z której strony grozi niebezpieczeństwo.

Niepodobna wyliczyć ilości okrętów, które padły ofiarą błędnych ławic, każda wiosna bowiem mnoży katastrofy. W ostatnich latach kroniki notują większe tylko parowce, które uległy zatopieniu z powodu zetknięcia się z lodowemi ławicami. W roku 1900 cztery ogromne parowce zatonęły bez śladu, z podróżnych nikogo nie uratowano. W r. 1899 w ten sam sposób zginęło dziesięć okrętów. W roku 1907 parowiec niemiecki „Kronprinz Wilhelm" poszedł na dno, zmiażdżony lodową skałą. W r. 1908 krążownik „Mongolian" dwa dni borykał się z lodowcem i dzięki tylko przypadkowi uniknął zagłady. W r. 1909 cztery parowce doznały poważnych uszkodzeń, a dwa spoczęły na dnie morskiem. Zetknięcie się z pływającą skałą połączone jest zawsze z pewną zagładą. Woda bowiem podmula wystającą ponad powierzchnię wody masę lodową i nieznaczne uderzenie lub silniejszy nawet prąd fali wystarcza, aby ten olbrzymi zwał runął na okręt i przygniótł go ciężarem.

STOPKA KRÓLOWEJ JADWIGI.



Pisaliśmy już niejednokrotnie o świątobliwej królowej polskiej Jadwidze, żonie Władysława Jagiełły. Wiele istnieje pięknych legend i opowiadań z jej życia. Pomiędzy innemi opowiadają, że gdy budowano obecny kościół OO. Karmelitów na Piasku w Krakowie, poszła tam królowa Jadwiga. W czasie rozmowy z jednym murarzem oparła swą drobną nóżkę na twardym kamieniu budulcowym. Ku ogromnemu zdziwieniu obecnych zauważono, że pozostał na kamieniu ślad stopy królowej. Kamień ów wbudowano w mur kościelny i po dziś dzień ślad ów na zewnętrznej stronie kościoła za kratą można tam oglądać,

Źle zrozumiał.

Czterech ich było. Stanowili spółkę i jeździli od miasta do miasta, sprzedając lichy towar za wysokie ceny. Długie pejsy i szkaradne brodziska, oraz brud, cechujący zawsze potomków Mojżesza, budziły wstręt do tych handlarzy. Niewiele różnił się od nich parobek Wojtek. Nikt nie wiedział jego prawdziwego nazwiska, ani też skąd pochodzi. Nazywano go Wojtkiem i tyle. Od lat dziesięciu jeździł z żydami, zżył i tułał się z nimi, bronił przed napaścią chłopców i jak oni kochał się w brudzie. Wiedział, że jest ochrzczony, ale nigdy się nie modlił, do kościoła nie chodził. Ostre rysy twarzy i żbiczy wzrok nadawały mu wygląd zbójecki. Żydzi byli z niego zadowoleni, bo za marnem wynagrodzeniem służył im wiernie. Ale z czasem stał się im niewygodnym. — Dawniej posłuszny na każde skinienie, wierny stróż dobytku swych chlebodawców, lgnął do nich całą swą dziką, nieokrzesaną naturą. Teraz stał się krnąbrnym, złośliwym i jakimś niezadowolonym. Nie wypełniał już tak ochoczo ich rozkazów, nie dbał o nich. Żydzi zaczęli radzić, jakby złemu zapobiedz.

— Ny — rzecze jeden — jemu ktoś namówił a on coś przemiszluje.

— Aj waj — mówi drugi — jaki un był dobry furman. A ja wam gadać, że wiem, co unemu potrzebuje brakować — woła najobrzydliwszy żyd, wódz spółki.

— A wos? — zapytują zaciekawieni towarzysze.

— Widżicze, co Wojtek żyje jak zwirz. Czy sze kiedy modli? Czy był kiedy w kościele? A nu trzeba mu choć raz kazać iść do jego kościoła, to sze poprawi.

— A git (dobrze) — wołają żydzi — ti masz rozum.

Wkrótce też nadarzyła się im sposobność „wypchnąć“ go do kościoła. Kiedy pewnego razu stanęli na popas w małej wiosce, postanowili skłonić furmana, aby poszedł do pobliskiego kościoła. Przywołali więc Wojtka do siebie, obstąpili wkoło a najwymowniejszy z nich w te do niego odezwał się słowa:

— Wojtek, mi tu bedziemy dwie godziny stali, idź więc do koszczoła, pomodlij sze.

Długo opierał się Wojtek, aż wkońcu obiecankami dał się namówić i poszedł. Wkrótce znalazł się w świątyni. Wspaniałe urządzenie tejże wzbudziło w nim podziw. Nigdy dotąd, oprócz brudnej karczmy, nie widział wnętrza domu. Od wielu a wielu lat spał i jadł, wogóle jeżeli nie w podróży, przepędzał życie w stajni. Naraz oczom jego przedstawiło się majestatyczne wnętrze kościoła. Błędnemi oczyma rozglądał się wokoło. Wtem uszu jego dobiegł jakiś głos i nasz Wojtek zobaczył na ambonie kapłana. Słuchał. O uszy jego obijały się niesłyszane dotąd słowa. Tu dowiedział się, że Chrystus Pan naszym jest Bogiem, tu usłyszał jak Go męczono, cierniem koronowano, a wkońcu haniebnie do kryża przybito. Wszystko to było dziełem żydów. Słowa kaznodziei padały na jałowy grunt serca nieokiełzanego człowieka i dziwnie grały na jego uczuciach. Myśl jakaś błysnęła mu nagle, bo zacisnął pięści i wyszedł z kościoła. Udał się na wóz i dumał. Żydzi wyszli wreszcie z karczmy, gdzie odbywali popas, zaprzągł przeto konie i ruszyli. Za wsią zsiadł Wojtek z wozu i ruszył piechotą z tyłu tegoż. Coś knuł, bo co chwilę zaciskał pięści, rzucając na jadących złowrogie spojrzenia. Naraz oglądnął się wkoło, a nie zobaczywszy nikogo, wskoczył na tył wozu i nuż okładać biczyskiem, niczego nie spodziewających się żydów. Łup, łup, odzywały się uderzenia.

— Gewałt! — wrzeszczeli żydzi. — Łup, łup było odpowiedzią.

— A wy, mordercy, to wy zamordowaliście naszego Pana Jezusa! — wrzeszczał Wojtek.

— Aj waj, to nie mi, tylko nasi przodkowie — krzyczą żydzi siedzący w tyle.

Wojtek pomiarkował się.

— Źle zrobiłem — dodał i dalejże naprzód wozu. Łup, łup po grzbietach żydowskich. O, nie żałował on ręki. Naraz biczysko złamało się a Wojtek wyskoczył z wozu.

Zmęczony udał się do najbliższej wioski i wkrótce znalazł służbę u uczciwego gospodarza. Tu poznał dopiero swą winę i żałował, że niesłusznie ukarał handlarzy. A kiedy pewnego razu jechali oni przez tę wieś i zobaczyli Wojtka, wychodzącego z kościoła, wołali do nowego furmana.

— Jedź Kuba prędko, bo Wojtek idże z koszczoła. Ale Wojtek szedł spokojnie, choć ich poznał.

St. Winkowski.

Nie myśl źle o mnie!...

Nie myśl źle o mnie, bom ja bardzo biedny
A wszystkiem w życiu jesteś dla mnie ty!
Ja na tym świecie, oprócz ciebie jednej,
Mam tylko same rzewne, gorzkie łzy...

Nie myśl źle o mnie, gdyż to życie moje
Pełne serdecznych zmagań się i burz;
Bo sercem szarpią dziwne niepokoje,
Bo serce pragnie jasnych szczęścia zórz.

I może właśnie przez to ukochanie
Nie mam ja szczęścia pełnego, ach nie!
A więc cokolwiek w życiu mem się stanie,
Ty jedna nie myśl nigdy o mnie źle!

A kiedy będziesz jak liść wichrem gnana,
I zwątpień koło gdy otoczy cię;
Gdy będziesz smutna, gdy będziesz znękana,
To wspomnij o mnie, ale nie myśl źle!

Całe twe serce otwieraj przedemną —
Niech powiernikiem twoim będę ja.
Trudno przewidzieć dziś przyszłość tajemną,
Lecz może jeszcze Bóg nam szczęście da.

A szczęście owo jak zorza poranna,
Jak wonny jaki o stubarwach kwiat,
Jak jedna rozkosz wielka, nieustanna,
Dla nas przemieni dziś ponury świat.

Oto z tajników mej myśli serdecznej
Najdroższych uczuć tę tkaninę ślę:
Miej mnie w pamięci kochanej i wiecznej —
Myśl o mnie zawsze — ale nie myśl źle!

Antoni St. Bassara.

Z DOLINY ŁEZ.

(Obrazek z życia wiejskiego).

Jędrzej z Doliny był gospodarzem nie lada. — Gospodarstwo jego składało się z jednego morga pola, z chaty o dwóch oknach, krowiny, czterech kur, żony no i siedmiorga dzieci. Ale że to Jędrzej był cieślą doskonałym, jeździł na Węgry co roku za belkami i zarabiał grubo, to życie płynęło mu że i gospodarze mawiali nieraz:

— Niema to jak Jędrzejowi! Nie ma o nic turbacyi, lepiej sobie żyje, jak my.

I często gęsto pożyczali u niego kilka koron. Ale niema nic stałego w tem życiu. Jędrzej uciął sobie nogę, wyleżał w szpitalu w Koszycach dwa miesiące, i przywlókł się pod jesień o kiju i proszonym chlebie do chaty bez grosza.

Nastały ciężkie dni dla Jędrzeja. Dzieci zaczęły chorować na szkarlatynę a w dodatku przyszła sroga zima. Na życie i lekarstwa wydał ostatek oszczędzonych pieniędzy a nawet poszła krowa i kury — i wszystkiego wkońcu zabrakło. Żona robiła mu wyrzuty a Jędrzej milczał jak kamień. Było przy końcu zimy, na przednowku. Mróz jeszcze dokuczał a w chacie Jędrzeja brakło obok pożywienia najważniejszej rzeczy, to jest drzewa. Zimno było okropnie w chacie, dzieci tuliły się do zimnego pieca.



— Dalej tak być nie może — wyrzekł Jędrzej — trzeba to raz skończyć!

Mówiąc to, porwał powróz i siekierę, zdarł kożuch z dzieci, zarzucił na ramiona i wybiegł z chaty. Nie czuł bólu w nodze, bo się już był wygoił. Szedł prosto w górę, w krzaki. Śnieg skrzypiał pod nogami, miliony gwiazdek iskrzyło się na śniegu. Jędrzej kroczył wśród krzaków, brnąc w śniegu. Wreszcie przystanął. Wrony zaczęły krakać złowrogo. Jędrzej spojrzał w górę i zobaczył suchą brzezinę, na której siedziały wrony. Zły duch zaczął mu szeptać do ucha:

— Trzeba raz skończyć! Żyć gorzej od psa, to szkoda. Już i tak niema wyjścia dla ciebie, nikt ci nie pożyczy. Żona spoziera, żebyś ino umarł, bo ma już innego oddawna. Ho, ho! żebyś ty był widział, co się tu działo, zaczem byłeś na Węgrzech!

— Brrr! w imię Ojca i Syna — przeżegnał się Jędrzej — skąd mi takie myśli przychodzą?

— Co? czy nie łatwo wydrapać się na brzezinę, zadzierzgnąć powróz na tym tu sęku, wrazić głowę w pętlicę i hup na dół! Będą się wrony dziwowały takiemu zuchowi, co śmiał wtargnąć w ich mieszkanie. Wiatr cię będzie kołysał, jak dziecko do snu. Zwykli śmiertelnicy stękają na łóżku, ale bohaterzy to umierają na koniu lub w falach morza. Ty tchórz! boisz się wyleźć na brezinę!

Jędrzej jednym susem wydrapał się na brzezinę i zaczął przywiązywać powróz.

— Ej, a biedne dzieci chore! tu stoisz a zabrałeś im kożuch! — mówi mu Anioł stróż. — Powracaj prędko, rozpal ogień, bo dzieci pomarzną.

Jędrzej spuścił się na ziemię, zostawiając w górze powróz. Wrony darły się przeraźliwie.

Zły duch zaczął z innej beczki.

— Chrystus umarł na drzewie a ty boisz się drzewa? Gdy umrzesz na drzewie, będziesz podobny do Chrystusa. On wszystkich woła do siebie, ty nie chcesz słuchać Chrystusa.

— W imię Ojca i Syna! — Jędrzej klęknął i zmówił Zdrowaś Marya, potem powstał, popluł w ręce i począł rąbać brzezinę. Wrony tłukły się ponad głową, robiąc łoskot złowrogi a zły duch krzyczał mu w ucho:

— Złodziej! złodziej! Siódme: nie kradnij! Jak się pokażesz w kościele? Tyś nigdy nic nie ukradł, a teraz się bierzesz do grubych rzeczy? Śmiertelny to grzech!

Brzezina przewróciła się, jakby stęknęła. Złodziej Jędrzej migiem porwał za powróz, zaciągnął ją ku chacie i porąbał. Wkrótce buchnął na kominku wesoły ogień, dzieci zaczęły wyskakiwać koło ognia, wypędzając pół biedy z chaty. Ale Jędrzejowi ciągle zły duch szeptał:

— Złodziej!

Pomyślał chwilę i nagle twarz mu się rozjaśniła. Gospodarz, do którego należała brzezina był ogromnym sknerą i skąpcem; człowiek bogaty, ale nieużyty dla biednego. Ale że dawniej na niedzielę chodził go Jędrzej golić, bo miał z Węgier bardzo dobrą brzytwę, a ów Jan Kłoda, bo się tak nazywał, chciał ją zawsze kupić od niego. Wziął tedy brzytwę i ruszył do Kłody, postanawiając mu ją podarować za tę brzezinę.

Trafił na dobry czas, bo Jan po półgodzinnem heblowaniu brzytwy na podartym pasku, zaczął się golić. Już przed domem Jędrzej słyszał trzeszczenie brody i syczenie Jana, golił się a raczej skrobał brodę bez miłosierdzia.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! a popiołu na nogi.*) Niesiesz ta swój kozik, bo mnie ta gada tak skubie, jaze strach!

— E, bobyście se dawno mogli kupić inną brzytwę a szkoda pyska — rzecze Jędrzej, wyjmując swoją brzytwę.

Jan porwał ją i nic nie mówiąc, ogolił się.

— A to brzytwa — chwalił Jan — goli jak dyament. Wiesz, to mi ją raz już sprzedaj. Wieleż chcesz za nią?

— A weźcie se! Ja już dziś wziął zapłatę — rzekł Jędrzej i opowiedział całą swoją biedę i przygodę z brzeziną.

Jan był okrutnie z brzytwy ucieszony, kazał parobkowi zawieźć Jędrzejowi furę drzewa suchego, dał mu dwoje chleba, wyprowadził go przed chatę i dodał:

— Dobrześ zrobił, żeś się nie obwiesił na tej brzezinie, bo byłoby mi okropnie tamtędy chodzić — rzekł Jan i wsunął mu w rękę 20-koronówkę.

— Jak ta będziesz miał kiej, to mi oddasz — dodał.

Jędrzej rozmyślał, co się z Janem stało. Jeszcze nigdy taki szczery nie był. Gdy przestąpił próg swej chaty, dzieci wesoło śpiewały wraz z żoną.

Zły duch przegrał stawkę, ale czasem wygrywa.

*) Zwykłe przysłowie na wsi, gdy kto dawno nie był.

Piotr Lipowiak.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Projektowane roboty. — Żniwa. — Strumyk. — Onagi. — Zaprzęg do wózka.

Tego samego dnia jeszcze koloniści wynieśli zabite małpy do lasu, gdzie zagrzebali je w ziemi, aby ciała ich, psując się, nie zatruwały powietrza. Po powrocie zajęli się porządkowaniem, bo chociaż małpy niczego nie popsuły, lecz poprzewracały wszystko. Nab tymczasem rozpalił ogień na kominie i przyrządził sutą wieczerzę, którą wszyscy z największym apetytem spożyli. Nie zapomniano o Jowie, który z widocznem zadowoleniem zajadał orzechy oraz korzenie, których mu obficie dostarczono. Penkroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne zostawić pęta na nogach, póki się nie oswoi.

Następnie Cyrus Smith naradzał się jeszcze z towarzyszami, jakieby roboty wypadało najpierw wykonać. Wszyscy uznali zgodnie, że najpilniejszem było postawienie mostu na Mercy dla ułatwienia komunikacyi z południową częścią wyspy, a potem zaraz urządzenie owczarni, gdzieby mogli pomieścić muflony lub inne, dostarczające wełny zwierzęta, w które zaopatrzyć się postanowili. Owczarnię zamierzał Cyrus urządzić przy źródłach Czerwonego strumienia, gdzie znajdowały się doskonałe pastwiska. Jeżeli jednak owczarnia mogła być oddalona od domu, to inaczej rzecz się miała z kurnikiem, o który Nab dopominał się koniecznie. Drób musiał być pod ręką kucharza i dlatego postanowiono założyć kurnik na brzegu jeziora, przy dawnym upuście, gdzie i ptaki wodne mogły znaleźć dogodne pomieszczenie.

Nazajutrz, 3 listopada, koloniści wyszli z piłami, siekierami, młotami i innemi narzędziami do budowy mostu. Zanim zabrali się do roboty, Cyrus uwiadomił ich, że ma zamiar odosobnić płaszczyznę Pięknego widoku od reszty wyspy, aby tym sposobem zabezpieczyć Granitowy pałac, Kominy, kurnik i całą wyższą część płaszczyzny, przeznaczoną pod zasiewy, od napaści zwierząt czworonożnych i czwororękich. Wykonanie tego planu było bardzo łatwe. Płaszczyzna była już obecnie otoczona wodą z trzech stron, chodziło więc tylko o jej część zachodnią, ciągnącą się między rzeką Mercy a jeziorem, na przestrzeni wynoszącej niecałą milę. Trzeba było tylko wykopać szeroki i głęboki rów, tak aby z jednej strony wpadała do niego woda z jeziora, z drugiej zaś, dla zapobiegnięcia przepełnieniu, uchodziła do rzeki.

Zabrano się pilnie do roboty. Zbudowanie mostu, który miał być stałym od prawego, a zwodzonym od lewego brzegu rzeki, szerokiej na ośmdziesiąt stóp, wymagało niemałych trudów i pracy. — Szczęściem, koloniści posiadali potrzebne narzędzia i materyały, nabyli już pewnej wprawy i pracowali gorliwie pod zwierzchnictwem człowieka doskonale obznajomionego z podobnego rodzaju robotami. Do trzech tygodni most został zupełnie wykończony, a ruchoma część jego spuszczała się i podnosiła łatwo przy pomocy przeciwwagi.

Jow tymczasem przyzwyczajał się do nowego rodzaju życia, przyglądał się ciekawie swym panom i oswajał się z nimi. Penkroff nie chciał mu jednak wrócić zupełnej wolności, dopóki płaszczyzna nie będzie dokoła otoczona wodą, co mu przeszkodzi uciec do lasu. Top i Jow żyli w największej zgodzie i chętnie bawili się razem, tylko Jow był zawsze poważniejszym.

Pierwszy zasiew zboża, składający się z jednego ziarnka, wydał, dzięki staraniom Penkroffa, zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów. Każdy z nich zawierał ośmdziesiąt ziarnek, koloniści więc po sześciu miesiącach z jednego ziarnka posiadali ośmset ziarn. Z tych mieli odłożyć pięćdziesiąt na wszelki wypadek, resztę zaś zasiać i pielęgnować równie starannie. Uprawiono pole, zasiano je i otoczono wysoką, mocną i ostro zakończoną palisadą, aby nie zostało stratowane przez zwierzęta, jeżeliby jakie znalazły się na płaszczyznie. Dla odstraszenia ptaków Penkroff poustawiał różne straszydła i pozawieszał mnóstwo grzechotek.

Dnia 21 listopada Cyrus Smith rozpoczął roboty grabarskie około rowu. Rozsadzono już skałę nad brzegiem jeziora i woda popłynęła rowem, który otrzymał nazwę strumienia glicerynowego.

Chociaż w grudniu, upały były nieznośne, koloniści nie chcieli przerywać pracy i przystąpili zaraz do urządzenia kurnika.

Kurnik zajął dwieście yardów kwadratowych gruntu, otoczonego palisadą, na którym postawiono rodzaj chatek wyplecionych z chrustu i podzielonych na przedziały, aby każdy gatunek drobiu mógł być oddzielnie pomieszczony. Naprzód wsadzono tam kusaki, które wkrótce zaczęły wysiadywać młode. Niedługo potem dodano im do towarzystwa kilka kaczek. Prócz tego Cyrus Smith postawił jeszcze gołębnik obok kurnika i umieścił w nim 6 par gołębi skalnych. Przyzwyczaiły się one wkrótce do swego nowego mieszkania.

Dnia 23 grudnia koloniści, pracujący w Kominach, usłyszeli jednocześnie krzyki Naba i szczekanie Topa. Zaniepokojeni wybiegli i zobaczyli dwa piękne i duże zwierzęta, które niebacznie wbiegły przez mostek na płaszczyznę. Zdaleka można je było wziąć za konie, a przynajmniej za osły; budowa ich była kształtna, maść brudno żółta, nogi i ogon białe; na szyi, głowie i grzbiecie miały czarne pręgi. Szły spokojnie, bez obawy, przyglądając się ciekawie tym, w których nie domyślały się swych przyszłych panów.

— To są onagi, rodzaj osłów, ale są kształtniejsze i nie mają tak długich uszów.

— Osły czy konie — odpowiedział Penkroff — o to mniejsza, zawsze warto je schwytać.

Ostrożnie, nie przestraszając zwierząt, zbliżył się do mostu, podniósł go i onagi nie mogły już uciec.

Koloniści, zamiast ujarzmić je odrazu, pozwolili im przez kilka dni biegać swobodnie po płaszczyznie, zarosłej bujną trawą; tymczasem zaś postawili tuż przy kurniku stajnię, aby później służyła onagom za nocne schronienie. Z początku nie zbliżano się nawet do nich, aby ich nie przestraszać. Piękne te zwierzęta pragnęły opuścić miejsce zbyt dla nich ciasne, obchodziły dokoła płaszczyznę, spoglądając to na las, to na wodę, dzieląca ich od niego, potem biegały galopem to w tę i ową stronę, a nakoniec stały godzinami na jednem miejscu, patrząc na te gęste lasy, do których już wrócić nie miały.

Tymczasem koloniści zrobili z włókien roślinnych mocną uprząż i wycięli prostą choć nie szeroką drogę przez las, a ostatniego grudnia postanowili po raz pierwszy zaprządz onagi. Penkroff obłaskawił je już do tyla, że jadły z jego ręki; ale gdy je zaprzężono, tak się rwały i wspinały, że zaledwie można je było utrzymać. Dopiero gdy się przekonały, że opór jest daremny, pogodziły się ze swym losem. Zaprzęgają je często w górzystych okolicach południowej Afryki, a nawet zdołano je zaaklimatyzować w Europie, w dość zimnej stosunkowo strefie.

W parę dni potem wszyscy, z wyjątkiem Penkroffa, prowadzącego przy pysku onagi, wsiedli na

wóz i udali się do portu Balonu. Łatwo się domyśleć, że podróż po zaledwie utorowanej drodze nie była zbyt przyjemna, jednak koloniści stanęli szczęśliwie na miejscu i tegoż samego dnia o ósmej wieczorem wrócili do domu ze szczątkami balonu.

ROZDZIAŁ XXIX.

Bielizna. — Obuwie ze skóry foki. — Postępy Jowa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienie ojczyzny.

Przez cały pierwszy tydzień stycznia koloniści zajmowali się wyłącznie szyciem bielizny. Igły, znalezione w skrzyni, przydały się teraz, a jeżeli szyjący nie umieli używać ich zręcznie, to przynajmniej szwy były mocne. Wkrótce koloniści posiadali kilka tuzinów koszul, prześcieradeł, chustek, ręczników, a nawet skarpetek płóciennych. Wszystko było grube, niedokładnie zrobione, a jednak łatwo pojąć, z jaką dumą spoglądali na pracę rąk swoich, z jaką radością kładli na siebie świeżą i całą bieliznę i przykrywali swe posłania białemi prześcieradłami. Gdy już bielizna była gotowa, koloniści zajęli się sporządzaniem obuwia ze skóry foki. To, które posiadali, już zupełnie było zniszczone. Wyrobione przez nich obuwie wiele pozostawiało do życzenia, ale przynajmniej było obszerne i wygodne.

W tym także mniej więcej czasie zmyślny i roztropny Jow został wyniesiony do godności lokaja. Ubrano go w płócienną kurtkę, krótkie spodnie i fartuch z kieszeniami. Nab wytresował doskonale zręcznego orangutana.

Łatwo sobie wyobrazić zadowolenie mieszkańców Granitowego pałacu, gdy nie uprzedzeni o tem pierwej, zasiadając do stołu, ujrzeli Jowa w opisanem powyżej ubraniu, z serwetą zawieszoną na ręce. Zręczny i uważny, wywiązywał się doskonale ze swego zadania: zmieniał talerze, przynosił półmiski, podawał wodę do picia a wszystko to czynił z powagą, rozśmieszającą kolonistów i wprawiającą Penkroffa w zachwyt.

Wołano ze wszystkich stron:

— Jow, nalej mi zupy!

— Jow, podaj mi kawałek pieczeni!

— Jow, zmień talerze!

— Jow, dobry Jow, zręczny Jow!

Rozsądne zwierzę zwijało się żwawo, spełniając te rozkazy, pomrukując z zadowolenia, gdy Penkroff, klepiąc je po ramieniu, powtarzał żartobliwie:

— Doprawdy, Jowie, trzeba ci będzie podwoić płacę.

Przy końcu stycznia koloniści rozpoczęli nowe i ważne prace w środkowej części wyspy. Prace około owczarni, które zajęły trzy tygodnie czasu, gdyż oprócz palisady Cyrus Smith zbudował tam jeszcze obszerne szopy z desek, aby muflony miały gdzie schronić się w czasie burzy. Wszystko zresztą musiało być mocno zbudowane, gdyż muflony są bardzo silne, i, zwłaszcza z początku, trzeba było obawiać się ich gwałtowności. Po skończeniu owczarni, dnia 7 lutego, zrobiono wielką obławę na muflony, w której wszyscy brali udział. Gedeon, Smith i Harbert pojechali wierzchem na onagach, które i w tym razie okazały się bardzo użytecznemi. Polowanie zasadzało się głównie na tem, aby naganiać muflony i dzikie kozy do owczarni. Dlatego też Cyrus, Penkroff Nab i Jow stanęli na obranych stanowiskach w lesie, a jeźdźcy i Top uganiali dokoła ogrodzenia, zacieśniając coraz koło i wydając głośne okrzyki dla płoszenia muflonów i naganiania ich do zagrody.

Polowanie odbywało się właśnie na pastwiskach, licznie uczęszczanych przez te piękne zwierzęta, przypominające azyatyckiego barana argali rogami, silniejszymi niż u zwyczajnych baranów i wełnę szarawą. Ze stu najmniej muflonów zaledwie trzydzieści i dziesięć dzikich kóz wpadło przez otwartą bramę do ogrodzenia, gdzie też zamknięto je natychmiast. Koloniści i z tego byli zadowoleni, zwłaszcza, że samice znajdowały się między niemi w znacznie przeważającej liczbie i mogli spodziewać się wkrótce pomnożenia owczarni.



...Koloniści odpoczywali w altanie.

Miesiąc luty przeszedł bez żadnego ważniejszego wypadku. Ulepszono już istniejące drogi i utorowano nowe od owczarni do zachodniego wybrzeża. Przed nadejściem zimy zajęto się gorliwie przesadzaniem dzikich roślin, które Harbert przynosił z każdej wycieczki do lasu: szczaw zwyczajny, kilka odmian kartofli, których dotąd poznano już przeszło dwieście gatunków, jakąś inną użyteczną roślinę; każdą z nich sadził na osobnej kwaterze w ogrodzie.

Na brak napojów nie mogli także się uskarżać; prócz herbaty posiadali jeszcze napój z korzeni draceny i istne piwo, które Cyrus Smith wyrabiał z młodziutkich odrośli pewnego gatunku świerka; ono to po wygotowaniu i fermentacyi dają smaczny i zdrowy napój, zwany przez Amerykanów piwem jodłowem.

Wszystko szło jak najlepiej, dzięki niezmordowanej pracowitości tych odważnych i rozumnych ludzi. Wprawdzie Opatrzność widocznie czuwała nad nimi, ale oni też wiernie trzymali się zasady: »*Pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże!*«

W piękne letnie wieczory, po skończonej pracy, koloniści odpoczywali razem w altanie, pokrytej pnącemi się roślinami, postawionej przez Naba na skraju płaszczyzny Pięknego widoku. Tam uczyli się wzajemnie, układali plany na przyszłość i rozmawiali o swej pięknej i ukochanej Ameryce. Tylko Cyrus Smith rzadko mieszał się do rozmowy, gdyż myśl jego była głównie zajęta dziwnymi wypadkami, jakie spotykały ich na wyspie i dotąd jeszcze stanowiły dla niego tajemniczą zagadkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Myślałem juz, ze moja Kaśka Myrdalonka oniemiała, abo jesce co gorsego, bo od godów, jagem się przeniósł na nową słuzbę, ani gęby nie oziwiła. A moze ta i co gadała, ino ze ja nie słysał, bo daleko było a takich wielgich usów ni mam, coby tak daleko słysały. Tymcasem Kaśka przemówiła, choć co prawda nie gębą, ale bez papir, co jej go zapisał Jasiek od Gwizdały.

Ale to papirowe gadanie takie fajne było, jaz mi do wątroby doszło. W pisaniu przysłanem mi wyćciwia Kaśka na chłopaków okrutnie.

— Zawsem to padała — pise — ze dziewcyna lepsiejsa od chłopaka, bo dziewcynie byle się ino jaki żgac trafił i chciał ją za babę, to się wiela nie ociąga, ale leci, jak mucha do miodu. A chłopak to się będzie mizdrzył, kochanie udawał, a o zeniacce nie myśli. On ino patrzy, zeby z dzieuchą pofiglować, z garnuska co wylizać, przypitku jakiego chlapnąć i kuniec. A gadać mu co o zeniacce, to zaraz zacnie bajtasić, ze ceka na tatusiową śmierć, ze się mamusi spyta, ze musi mentrykę wyrobić i tyle inksych inksości powynajduje, ze dziewcyny wionek panieński usycha a ze ślubu figa.

— Ja padam zawse chłopakom — pise Kaśka dali — mas się zenić, to się zeń, a nie kręć gitary, bo się to na nic nie przyda. Ale juz teraz takie cięzkie casy, ze jedna i druga, choć widzi, ze z wesela będą nici, to się chłopakowi podlizuje, bo choć ma ten hunor, ze ma kawalira. A chłopak? A cy mu to źle z tem? I córusia mu się przychlibia i mamusia go obsermuje, to on w ocy świętosek a poza ocami, to się z bidny dziopy wyśmiwa i ją jesce obgaduje. Bez to dzieuchy, gdyby były madre, toby pedziały: Abo się zeń, abo odpal! Choć teraz z zeniacką cięzko idzie, bo chłopaki więcej patrzą na grajcary, cy ładne, niz na gębę cy ładna.

— Tom ci wszyćko musiała pedzić — koncy swoje pisanie Kaśka — aby się dowiedzieć, cyś ty taki sam cygan, jak insi, cy nie. Bo jageś taki, to juz wiem, co myślis, a ja ci prawdę mówię, ze próc urody nic ni mam, a jak inacy, to podziękuj za słuzbę i przyizdzaj dawać na zapowiedzi, bo mi juz cas, a i jegomości grajcarów trza. A jakbyś się nie chciał zenić, to się przecie nie gniwaj, ale pisuj do mnie, boby się inse dzieuchy śmiały ze mnie, ze mnie Maciuś opuścił.

Uśmiałem się z tego pisania i odpisałem Kaśce, ze teraz jesce z zeniacki nic, bo mam dopiro trzydzieści roków, tom jesce za młody i musę się mamusię spytać o radę, natularnie cyi mamusi, bo swoi ni mam. A jak mi kochanie Kaścyne się zmierzi, to se insej posukam, bo teraz tego towaru nie brak i zadna nie patrzy jaki, choćby nawet ślepy albo garbaty, byle był.

Z TYGODNIA.

Sprawa ustąpienia marszałka Badeniego. Jest to wyjątkowym zgoła objawem, co nastąpiło po podaniu się do dymisyi marszałka krajowego hr. Badeniego. W całym kraju wiadomość ta odbiła się bolesnem echem. Urzędnicy Wydziału krajowego, oceniając niepospolite zalety marszałka jako przełożonego, zwrócili się doń z gorącą prośbą o pozostanie w urzędzie. Gazety wszystkich odcieni politycznych jednogłośnie podniosły zasługi tego męża stanu, jego takt w postępowaniu, niezmordowaną wytrwałość w służbie kraju, jego wielki talent i rozwagę w prowadzeniu obrad sejmowych. Dn. 26 kwietnia Koło polskie w Wiedniu zebrało się na osobne posiedzenie w sprawie ustąpienia marszałka Badeniego. Przemówił prezes Koła Dr. Leo, przedkładając następujące rezolucye: „Koło polskie z żywem zaniepokojeniem powzięło wiadomość, że Ekscelencya z powodu niepomyślnego stanu zdrowia zamierza ustąpić z urzędu kierownika naszego życia autonomicznego. Oceniając wysoko wielkie zasługi marszałka około rozwoju naszych stosunków autonomicznych, oraz niepospolite zasługi jako politycznego męża, jego głęboką znajomość potrzeb kraju, pojednawczość i wyrozumiałość, zalety, zawsze, a szczególnie w teraźniejszem trudnem położeniu nieodzowne, Koło polskie zwraca się do niego z gorącą prośbą, aby raczył, jeśli tylko stan zdrowia na to pozwala, odstąpić od swego zamiaru i przewodniczył dalej Sejmowi i wydziałowi krajowemu". — Koło gorąco przyjęło te rezolucye. Przedstawiciele wszystkich stronnictw w kraju zjednoczyli się w tym wyrazie uznania dla czcigodnego męża stanu. Stolica kraju Lwów dnia 29 kwietnia przez usta prezydenta i wiceprezydentów upraszała też ze swej strony marszałka o nieopuszczanie stanowiska. Doczekał się marszałek Badeni pięknej chwili po wielu latach pracy publicznej. Zjednoczył około siebie wszystkie odłamy polityczne.

Marszałek Badeni na wysokim swym urzędzie dla wszystkich partyi politycznych wyrozumiały, wobec wszystkich bezstronny, dzisiaj odnosi tryumf, jako przedstawiciel tej myśli, którą gazetka nasza stale głosi, a która wzywa wszystkich do jednoczenia się pod hasłem dobra ogólnego.

(J. K.) **Przejście na prawosławie.** W powiecie złoczowskim krążą dość częste wieści, że z wiosną kilka wsi ma przejść na prawosławie. Umyślni agenci chodzą po wsiach sprzyjających Moskalom i obiecują, że gdzie przynajmniej 10 osób uzna cara za głowę Kościoła, tam zaraz zbudują cerkiew i dadzą popa batiuszkę. Niebawem ma się zacząć w Lackiem budowa pierwszej prawosławnej cerkwi, na którą już przyszło z Rosyi 42.000 rubli. O ile wszystko to jest prawdą, wykaże bliska przyszłość, w każdym jednak razie zaznaczyć trzeba, że popi moskiewscy starają się przeciągnąć lud ruski w Galicyi na swoją religię.

Niemcy dla lotnictwa wojskowego. Niemcy zrozumieli wielką doniosłość lotnictwa w wojnie, to też ich gazety ogłosiły gorące wezwanie do narodu niemieckiego w sprawie lotnictwa. Suma, zebrana z dotychczasowych składek w różnych miastach, wynosi 500.000 marek. Założone zostało centralne towarzystwo dla floty napowietrznej, oraz komitety prowincyonalne.

Sprawa chełmska w Dumie. Ta część posłów Dumy rosyjskiej, która nie zgadza się na wydzielenie Chełmszczyzny z Królestwa Polskiego, wnio-

sła, aby trzecie czytanie przedłożenia chełmskiego zostało usunięte. Duma uchwaliła 87 głosami przeciw 83 usunąć trzecie czytanie przedłożenia chełmskiego z porządku dziennego. Stało się to w zeszłym tygodniu. Zdaje się jednak, że odwleczenie trzeciego czytania niedorzecznego i niegodziwego projektu ustawy chełmskiej, znaczy przedewszystkiem, iż wogóle trzecia Duma, przed wyborami do następnej, sprawy tej załatwić nie chce. Gwałt, jakiego dokonać ma ustawa, nie znajduje poparcia u sprawiedliwych i niezacietrzewionych Rosyan. Ci więc na posłów, którzy taką ustawę uchwalili, nie głosowaliby przy wyborach do czwartej Dumy.

Wolność wyznaniowa a rząd rosyjski. Dekret tolerancyjny (o wolności wyznaniowej) cara rosyjskiego, którym uroczyście zapewnił wolność wyznań i sumień, stał się zawodem ciężkim dla Kościoła. Stolicę świętą oburza jego niesprawiedliwe dla katolików wykonanie. Kary dotykają księży za obronę religii, za obrzędy, za używanie języka polskiego. Biskupi i duchowni pociągani są przed sądy świeckie za spełnianie obowiązków religijnych. Najniedorzeczniejsza sekta, maryawici, doznawają opieki rządu, skoro idzie o dokuczenie katolikom i Polakom, oraz o skrzywdzenie ich. Nic już nie zostało dla nich z wolności religijnej. Coraz wyraźniejszym jest zamiar odebrania biskupom katolickim ich praw, spętania Kościoła i zniweczenia go, mimo dekretu tolerancyjnego.

Z wojny włosko - tureckiej. Włochy ustawicznie usiłują przez próby atakowania Turcyi poza Trypolitanią, zmusić ją do ustępliwości i jakoś przecie przybliżyć upragniony przez nich pokój. Niestety, ataki te nie przynoszą spodziewanych rezultatów. Ostrzeliwanie cieśniny dardanelskiej, na którem Włochy poprzestać musiały, nie przyniosło żadnego skutku wobec tego, że mocarstwa, szczególnie Anglia nie może dopuścić do zamknięcia tej cieśniny morskiej, potrzebnej do wolnego przejazdu jej okrętów handlowych. Ostrzeliwanie zaś wysp tureckich nie nastraszyło też Turków. Turcyi do pokoju nie pilno, bo wojna bardzo mało ich kosztuje, ani bezpośrednio krajowi nie zagraża. W tym też kierunku odpowiedziała Turcya na przedstawienia mocarstw europejskich. Zgodziłaby się na pokój, ale gdyby Włochy cofnęły dekret o aneksyi (przyłączeniu) Trypolisu, a zwierzchność nad nim została przy Turcyi. Tego znowu Włochy uczynić nie mogą. Położenie więc jest prawie bez wyjścia.

Powstanie w Marokku. W północno-afrykańskim kraju Marokko, należącym do Francyi, wybuchło powstanie wojskowe, powstańcy jednak w Fezie — stołecznem mieście Marokka — zostali pobici i uśmierzeni, aczkolwiek zwycięztwo to kosztowało Francuzów drogo. Niepodobna też mniemać, ażeby ludność raz na zawsze uspokoiła się, owszem, bez wątpienia rozruchy będą ustawicznie wybuchać i trzeba będzie wciąż je tłumić, wciąż ponosić ofiary w ludziach. Powstania takie są tem przykrzejsze dla Francyi, że pojawiać się mogą w różnych miejscowościach. W Marokku ma Francya 27.000 żołnierzy.

Wybory prezydentà Stanów Zjednoczonych. W roku bieżącym kończy się czterolecie obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Tafta i przygotowują się nowe wybory. Były prezydent, Roosevelt, który przed czterema laty już kandydować nie chciał i sam w znacznej części przeparł wybór Tafta, teraz znów agituje przeciw przyjacielowi politycznemu i stawia swoją kandydaturę. Taft znów zwalcza Roosevelta.

KRONIKA.

Katastrofa na Sanie. W niedzielę 21 kwietnia, w samo południe, zdarzył się na Sanie w oczach publiczności straszny wypadek. Oto woźnica z pobliskiej wioski, Michał Kołodziej, w służbie u właściciela jej, Grünspana, wjechał do Sanu w celu napojenia koni. Na wózku oprócz woźnicy siedział syn Grünspana, 12 letni Abraham. Zeledwie konie wjechały do wody, natrafiły, kilka kroków od brzegu, na wielką głębię i spłynęły. Za końmi potoczył się wóz w toń. Woźnica stracił głowę i zamiast wyskoczyć z Grünspanem czemprędzej, trzymał lejce w ręku, chcąc widocznie przepłynąć głębię i dostać się na mieliznę. Wszystko jednak poszło pod wodę. — Kilka chwil konie borykały się z falą, ale skrępowane uprzężą zniknęły wnet pod wodą wraz z woźnicą i wozem; na wierzch wypłynął tylko Abraham, rozpaczliwie robiąc rękami. Przechodzący właśnie tamtędy rzucili się na ratunek tonącemu i z pomocą rzuconego z brzegu pręta lozinowego wyciągnęli go. Woźnica i konie utonęły. Woźnica był to człowiek żonaty, ojciec pięciorga drobnych dzieci.

Straszny wypadek w rodzinie. Kazimierz Karpiel, 37-letni gospodarz jednej z wsi koło Wadowic, sprzedał na targu jałówkę za sto koron. Wróciwszy do domu położył na stole banknot stukoronowy i poszedł do obory dać bydłu jeść. Za powrotem do izby zastał dziecko, 4-letniego Stasia, bawiące się pieniądzmi, stukoronówka była podarta w strzępy. Wtedy ojciec, rozgniewany i nieco podchmielony, porwał nóż i obciął dziecku palce obu rąk. Na krzyk dziecka wbiegła matka, która kąpała 6-miesięczną córeczkę w drugiej izbie i poczęła opatrywać okaleczonego synka. Zawinąwszy mu okrwawione palce opatrunkami, położyła go do łóżka i wróciła do córeczki, którą zastała już utopioną w wanience. — W rozpaczy wybiegła przed dom wołać o ratunek, a ujrzawszy na wierzbie przed domem powieszonego męża, padła trupem na miejscu.

Niebezpieczna świnia. Oleksa i Anna Stypeniukowie, włościanie z Molodu-Derelui, na Bukowinie, wybrawszy się w poniedziałek, dnia 4 b. m., na jarmark do Czerniowiec, pozostawili w domu, pod opieką 6-letniego chłopaka, swą 4-miesięczną córeczkę w kołysce. Chłopak, korzystając z tego, iż rodziców w domu niema, pozostawiwszy drzwi otworem, wybiegł na ulicę, gdzie wesoło zabawiał się z towarzyszami.



Przez otwarte drzwi weszła po chwili do chaty olbrzymia locha, a napotkawszy leżące w kołysce dziecko, wyrzuciła je na podłogę i zaczęła w najlepsze obgryzać. Kto wie do czego byłoby doszło, gdyby nie sąsiadka Stypeniuków, która wyszedłszy na podwórze i usłyszawszy przeraźliwy krzyk dziecka, wiedząc, iż Stypeniuków w domu niema, weszła do chaty i wyrwała z paszczy świńskiej pokaleczone

już w straszliwy sposób dziecię. Nieszczęśliwe dziecko ma cały policzek prawy wyjedzony, a prawą rączkę wprost oderwaną od ramienia i pogruchotaną w kilku miejscach, oprócz tego piersi ma bardzo pokaleczone.

(K. P.) **Utopiony chłopczyk**. W powiecie strzyżowskim pewna kobieta wracała wieczorem do domu, niosąc na plecach 6 letniego synka. Przechodząc przez Wisłok na rwiącej wodzie, pośliznęła się na kamieniach i dziecko wpadło do wody i utonęło. Dotąd zwłok nie odnaleziono.

(J. K.) **Krzywoprzysięstwo.** W miasteczku B. żyje żebrak ze złamaną nogą, który swego czasu był gospodarzem w swej małej chacinie, potrafił zarobić na chleb i żył, jakkolwiek ciężko, jednak szczęśliwie. Podmówiony jednak, zdaje się przez żyda, za marne dwie korony krzywo przysiągł w sądzie. Po jakimś czasie wydała się zbrodnia i krzywoprzysięzcę zamknięto do kryminału. Jednak nie koniec na tem Uczy nas katechizm, że krzywa przysięga to grzech straszny, za który Bóg karze już w tem życiu. I spełniło się. — Było to zeszłego roku przed Zielonemi Świątkami. Krzywoprzysięzca wyszedł z kryminału. Chcąc narąbać zielonych gałęzi, aby swą lepiankę omaić, wylazł na drzewo i tu go dosięgła kara Boża za grzech ciężki. Pośliznął się i spadł z wierzchołka na ziemię, łamiąc jednę nogę zupełnie. Dziś jest żebrakiem, żyjącym tylko z jałmużny. I tak go Bóg pokarał za straszną zbrodnię. że śmiał Jego, Władcę świata, wzywać na świadka, by on potwierdził jego fałszywe zeznania.

Uprawa nasion rolniczych. Liga pomocy przemysłowej zwraca się z gorącem wezwaniem do rolników z uwagi na zbliżającą się porę wiosenna ażeby zwrócili baczną uwagę na olbrzymie szkody materyalne, jakie kraj nasz ponosi z powodu braku pól, na którychby uprawiano nasiona rolnicze, polne i ogrodowe. Galicya płaci rocznie za nasiona, sprowadzane z za granicy, licząc że każdy powiat galicyjski sprowadzi ich tylko za 50.000 koron, razem kwotę 4 miliony koron. Firmy budapeszteńskie, czeskie, francuskie i inne ciągną z Galicyi olbrzymie zyski za nasiona. Ostatni czas, ażeby w kołach rolniczych wszczęto energiczną akcyę celem utworzenia pól uprawy nasion rolniczych na większą skalę. Nasiona w kraju wyprodukowane, będą odpowiedniejsze, droższa uprawa nasion przysporzy ludności większych zarobków i powstrzyma ją od wychodźtwa, a handle krajowe nie będą zmuszone pośredniczyć w wywozie olbrzymich sum za granicę.

Wesoły nieboszczyk. Przed kilku dniami zmarł w wiedeńskim szpitalu powszechnym 58-letni notaryusz Dr. Maksymilian Schilcher, który na kilka godzin przed śmiercią sporządził testament, zawierający kilka arcyzabawnych zastrzeżeń. I tak: Ciało jego ma być przewiezione do Drezna i spalone w tamtejszym zakładzie palenia zwłok. Asystę przy trumnie w tej ostatniej podróży ma stanowić dawny pisarz w jego kancelaryi, Karol W., któremu masa spadkowa ma zapłacić pełne koszta podróży i utrzymania, a nadto niezależnie od tego kwotę 400 kor., pod tym jednakże warunkiem, jeśli zobowiąże się w drodze powrotnej zatrzymać 24 godzin w Pradze i tutaj całą tę sumę przetrwoni w wesołem towarzystwie, wznosząc toasty za „zdrowie“ nieboszczyka. Urzędnik ów przyjął ten warunek i rzeczywiście wykonał jak najdokładniej ostatnie zlecenie wesołego nieboszczyka.

Dobroczynny skąpiec. W Wiedniu zmarł w tych dniach kapitalista tamtejszy, Józef Spitsberger, zapisawszy gminie żydowskiej 2 i pół miliona koron na budowę szpitala dla dzieci bez różnicy wyznań. Dobroczyńca ten słynął za życia ze sknerstwa nadzwyczajnego. Odżywiał się tak skąpo i ubierał tak nędznie, że sprawiał wrażenie żebraka i często otrzymywał datki od współczujących przechodniów.

Ubrania ochronne dla robotników. Wiek obecny, chlubiący się z różnorodnych wynalazków, dąży także do tego, by robotników uchronić we wszelki możliwy sposób od szkodliwych wpływów swych zajęć.



Na dzisiejszym obrazku widzimy dwóch robotników fabryki stali, których ubiór składa się w wielkiej części z asbestu, materyału chroniącego od ognia. Mianowicie ich buty, rękawice, zapaski i okrycie głowy są sporządzone z asbestu.

Ofiara zaćmienia słońca. Przed dniem zaćmienia słońca gazety ostrzegały, aby nie patrzeć w słońce gołem okiem, lecz przez szkło zadymione. Nie posłuchała tego pewna pani w Strassburgu, ufna w wytrzymałość oczu swoich i przyglądała się niezwykłemu zjawisku bez szkieł ochronnych. Zaraz potem wystąpiły oznaki ślepoty częściowej, później zaś zaniewidziała zupełnie. Lekarze wątpią, aby można było wzrok jej przywrócić.

Szaleństwo z uciechy. Listonosz Senftleben w Berlinie dostał nagle pomieszania zmysłów z uciechy, iż otrzymał stałą posadę. Nieszczęśliwy wpadł w taką furyę, że roztrzaskał kulami rewolwerowemi wszystkie meble w swojem mieszkaniu i szalał, dopóki wreszcie pogotowiu nie udało się ubezwładnić go i przewieźć do szpitala.

Krwawy pocałunek. W Rosyi istnieje zwyczaj t. zw. »chrystosowania«. Zwyczaj ten polega na tem, że w pierwsze święto wielkiejnocy, a nawet zaraz po rezurekcyi, jeszcze w cerkwi, która kończy się tam prawie o świcie, wszyscy znajomi, winszując sobie świąt Bożego zmartwychwstania, nawzajem całują się trzykrotnie. Otóż w tym roku zdarzył się w jednem z miast środkowej Rosyi następujący wypadek: w święto to włościanin Emilian Denisow, spotkawszy swego sąsiada pozdrowił go tradycyjnem: »Chrystos woskresie!« (»Chrystus zmartwychwstał«) i pocałował go w usta, sąsiad zaś, który przed kilku laty już miał z Denisowem rozprawę w sądzie i przegrał ją, skorzystał ze sposobności i wywarł na Denisowie swoją zemstę w ten sposób, że odgryzł mu przy pocałunku całą dolna wargę.

Zaćmienie słońca i krowy. W jednej z miejscowości w Rosyi, podczas niedawnego zaćmienia słońca zdarzył się zabawny wypadek. Za wsią pasły się spokojnie krowy, naraz wskutek nagłej ciemności ogarnęła je trwoga. W jednej chwili całe stado rzuciło się do wsi. Oszalałe ze strachu krowy wpadłszy w wąskie uliczki wsi, powywracały dzieci i kobiety, wozy, które stały w tej chwili na ulicy i narobiły ogromnego zamętu, zanim zdołano je połapać i uspokoić. Niektóre z nich znaleziono dopiero później, w lesie poza wsią, zaplątane w zaroślach i krzakach, gdzie zatrzymały się zmęczone i wyczerpane szaloną ucieczką.

Kulą za pocałunek. Niedawno w Petersburgu, w pewnej rodzinie zaszedł osobliwy wypadek. Kiedy narzeczony starszej córki wychodził od nich, żegnając się, pocałował swoją narzeczoną. Widząc to jego brat, chwycił rewolwer i strzelił do niego. Na szczęście nie trafił i kula przeleciała obok narzeczonego. Szalonego czynu dokonał brat narzeczonego z powodu zazdrości, kochał się bowiem w pannie, lecz bez wzajemności.

Krwawe tłumienie strajku. Na Syberyi, w pewnych okolicach znajduje się złoto. Nad rzeką Leną są olbrzymie płuczkarnie złota, które znajduje się w piasku rzecznym i bywa odpowiedniemi sposobami przez robotników wydobywane i oczyszczane. Z powodu krzywd i wyzysku, jakiego robotnicy doznawali od zarządu kopalni, w liczbie 6000 ludzi, rozpoczęli strajk. Zarząd zaczął z nimi rokować o warunki polepszenia płacy, a równocześnie, będąc w dobrych stosunkach z komendantem wojskowym, sprowadził wojsko, które na sposób rosyjski „pohulało“ z robotnikami. Komenderujący rotmistrz aresztował bez najmniejszego powodu cały strajkowy komitet robotniczy i oskarżył komitetowych o tajny spisek rewolucyjny i o przygotowywanie buntu. Na miejsce dla przeprowadzenia śledztwa zjechały władze sądowe i prokurator. Niewinnych komitetowych prowadzono w oczach robotników pod bardzo silną strażą do przesłuchania. Robotnicy, widząc, że ich ulubieni przywódcy i kierownicy rzeczywiście paść mogą ofiarą kłamliwych oskarżeń, postanowili pójść tłumnie do urzędującego w jednym z domów prokuratora, aby mu o niewinności oskarżonych złożyć uroczyste świadectwo. Dnia 17 kwietnia około południa kilkutysięczna rzesza robotników ruszyła ku domowi, w którym urzędował prokurator. W chwili, kiedy tłum znajdował się w odległości jakich 300 kroków od domu prokuratora, ustawione w pobliżu jego wojsko, na znak dany przez rotmistrza wystrzeliło do tłumu. Robotnicy, prażeni nieoczekiwanymi strzałami, padli na ziemię, ale wojsko nie przestało strzelać. Przeszło 300 trupów i drugie tyle ciężko rannych zaścieliło pole złotodajne. Tak to rząd rosyjski krwią tłumi strajki.

Okradanie głodnego ludu. Dzienniki rosyjskie donoszą, że naczelnik powiatu, niejaki podpułkownik Bochatko, ukradł kilkanaście tysięcy rubli, przeznaczonych przez rząd dla ludności, dotkniętej klęską głodową. Pierwotnie Bochatko oświadczył, iż pieniądze te mu skradziono, gdy jednak na tydzień przedtem podał się do dymisyi, wytoczono przeciw niemu śledztwo i udowodniono mu kradzież.

Przegrana siostra. W miasteczku Mladenovac, w Serbii, podczas targu wieśniacy w jednej z gospod grali w kości. Wieśniaka Jagodinaca, który przegrał wszystko, namówił grający z nim towarzysz, ażeby postawił na grę swoją siostrę. W razie przegranej miał ów drugi gracz zapłacić znaczną sumę, w razie wygranej zabrać siostrę Jagodineca. Na to przystał Jagodinec i znowu przegrał. Szczęśliwy gracz zabrał siostrę Jagodinaca, ale wkrótce uwięziono go.

O nowej parze zrośniętych bliźniąt donoszą z pewnego miasta we Francyi. Bliźnięta, dwie dziewczynki, zrośnięte są piersiami tak, że wciąż na siebie patrzą. Badania lekarzy wykazały, że zrośnięcia są tylko powierzchowne i że dzieci rozdzielić można za pomocą operacyi.

Na latawcu z Pekinu do Paryża. Rozpisano w Paryżu konkurs na przelot ze stolicy Chin, Pekinu, do Paryża. Kto pierwszy na latawcu przybędzie z Pekinu do Paryża, ten otrzyma 150 tysięcy franków.

Strzały w parlamencie. W najpoważniejszym z parlamentów świata, w angielskiej Izbie gmin, zaszedł niezwykły wypadek. W jednym z przedpokoi gmachu parlamentarnego strzelił nagle pewien człowiek, przybrany w szaty duchownego, który siedział dłuższy czas na ławce, z rewolweru kilka razy w sufit. Natychmiast pochwycili go policyanci i usunęli z gmachu.



Stało się to w chwili, gdy sale zapełnione były posłami; wszyscy rzucili się do ucieczki. Strzały wywołały wielki popłoch. Bohater całej sprawy jest oczywiście człowiekiem umysłowo chorym. Gdy go aresztowano krzyczał w najwyższem rozdrażnieniu, że wszyscy robotnicy złożą dziś swe narzędzia.

Pies wybawcą. Pewien osadnik amerykański, zamieszkały w miejscowości Minesota, opowiada co następuje: Utrzymując się ze sprzedaży skór zwierzęcych, stawiałem w lesie pułapki na zwierzynę. Pewnego dnia wyszedłem obejrzeć, czy nie złapało się jakie zwierzę. Ale śnieg spadł świeży i nie mogłem odnaleźć pułapki. Wtem, gdy zrobiłem krok naprzód, rozległ się trzask suchy i żelaza ukrytej pod śniegiem pułapki schwyciły mi nogę silnie powyżej kostki. Zachwiałem się i jęcząc zwaliłem na ziemię. — Ból był tak dotkliwy, że straciłem przytomność; gdy ją odzyskałem, rozpocząłem oględziny. Silne klamry obciskały mi nogę jak kajdany, wszystkie wysiłki, aby się z nich wydobyć, były nadaremne; potrzeba było do tego odpowiednich narzędzi, a właśnie worek z przyborami pozostał zapomniany w domu. Pomyślałem o strasznej śmierci, jaka mnie czekała: gdy tak uwięziony stanę się pastwą wilków. Noga tym czasem już zesztywniała a ostre żelaza wciskały się coraz głębiej w ciało.



W tem strasznem położeniu wzrok mój padł na psa, który niespokojnie patrzył na mnie. Pogłaskałem go. Pies, jakby rozumiejąc, badawczo spoglądał to na mnie, to na żelaza. Potem obwąchał moją nogę a zobaczywszy krew, zaczął wyć przeraźliwie. Wtedy zbawcza myśl wpadła mi do głowy. Patrząc psu w oczy wymownie, mówiłem powoli a wyraźnie: „Potrzeba mi mojego worka, bez niego zginę. Idź śladem naszym do domu, przynieś mi worek“. Każdy wyraz wymawiałem z naciskiem, ukazując mu żelazo, ślady i kierunek, w którym znajdowała się

chata. Pies obwąchał nogę i ślady, ale zaczął gryźć żelaza i chciał nogę moją z nich uwolnić. Nie traciłem jednak nadziei. Wydobyłem z kieszeni małą łapkę i wskazywałem ślady. Wtedy popędził, nie zatrzymując się wcale. Czyżby mnie zrozumiał? Może odniesie łapkę i sam wróci? Próbowałem nożem kieszonkowym zaciśnięte kleszcze otworzyć — nadaremnie! Minęła długa godzina — zrobiło mi się słabo i omdlałem. Jak długo to trwało, nie wiem. Gdy się ocknąłem z omdlenia, pies leżał mi na piersi i lizał po twarzy. Podniosłem głowę, spojrzałem — i o dziwo! Koło mnie na ziemi leżał mój worek z narzędziami, a z nim ocalenie. Otrząsnąłem się ze zdumienia i zabrałem do oswobodzenia nogi. W dziesięć minut byłem wolny i zawlokłem się do chaty, a w dziesięć dni później zdrów i wesół. Możecie łatwo pojąć, że nie rozstawałem się już nigdy z moim czworonogim przyjacielem i wybawcą.

Bitwa w sądzie. W miasteczku Halfsville (Stan Virginia) w Ameryce, sądzona była sprawa niejakiego Allena, przemytnika wódki, oskarżonego o morderstwo. W chwili, gdy sędzia powstał, aby na podstawie werdyktu przysięgłych ogłosić wyrok śmierci, z miejsc przeznaczonych dla publiczności huknął strzał i prokurator, trafiony w serce, runął na podłogę. Szeryf (naczelnik policyi państwowej) sięgnął szybko po swój rewolwer, ale i on padł bez życia, trafiony drugą kulą. Trzecią ofiarą był sędzia. Tymczasem zaś strzelanina stała się powszechną. Ze wszystkich stron rozlegał się huk strzałów. Sędzia, wyniesiony z sali, dawał jeszcze słabe oznaki życia, lecz skonał wkrótce potem. Przysięgli bronili się dzielnie i nie ustępując z miejsc swoich, odpowiadali na każdy strzał krewnych i przyjaciół oskarżonego również strzałami. Prawie wszyscy jednak odnieśli rany, mniej lub więcej ciężkie. Rażony kulą przewodniczący ich padł bez życia. Ale zginął także oskarżony, podziurawiony jak rzeszoto. — Ogółem w bitwie tej zginęło na miejscu 5 osób a 22 odniosło rany mniej lub więcej ciężkie.

Żydzi w Ameryce. Stosunki Polaków w niektórych krajach Ameryki przedstawiają się pod względem moralnym bardzo smutno. Doszło w Brazylii i Argentynie do tego, że nazwa Polak stała się do pewnego stopnia pogardliwą. Przyczyną tego są polscy żydzi, którzy robią tam śliskie interesa, podając się za Polaków. Żydzi później, dorobiwszy się na takim »czystym« interesie majątku, zmieniają narodowość, stają się Niemcami, zostawiając na imieniu polskiem piętno, które nietylko jest ubliżające dla sławy polskiej, ale dla uczciwych robotników polskich jest niezmiernie ciężką kulą u nóg, bo naraża ich na niechęć i lekceważenie władz, u których oni zmuszeni szukać pomocy i opieki. Takie są skutki przyznawania się żydów do polskiej narodowości w Ameryce.

Więzienia kobiece w Stanach Zjednoczonych. W ostatnich czasach w Stanach Zjednoczonych istnieją i rozpowszechniają się więzienia kobiece nowego typu, które nie mają nic wspólnego ani co do zewnętrznego wyglądu, ani urządzenia wewnętrznego, z ponuremi więzieniami zeszłego stulecia. Dążąc do tego, aby nie gnębić przestępców, lecz by ich poprawiać, władze więzienne troszczą się tak o fizyczną jak i moralną stronę więźniów. Cele są widne, czyste, pełne słońca. W wolnych chwilach uwięzione zbierają się w dużym, zacisznym pokoju, zawierającym dobrze zaopatrzony księgozbiór. W zajęciach więziennych pierwsze miejsce zajmuje ogrodnictwo i sadownictwo. Prócz tego uwięzione kobiety pracują w przędzalniach i zajmują się wyrabianiem materaców.

Domy ze szkła. Pewien budowniczy w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej twierdzi, że w przyszłości, może za lat 10, Amerykanie będą budować domy ze szkła. Wszystkie części, począwszy od podwalin, a skończywszy na dachu, będą ze szkła. Szkło wyrabiane będzie w żądanej barwie. Oczywiście szkło takie nie będzie przeźroczyste, lecz ciemnawe, jak łupek. Domy szklane wolne będą od wilgoci i grzyba.

Jak głęboko zatonął „Titanic"? Największy ten okręt w świecie zatonął w miejscu, gdzie morze głębokie jest na 3000 metrów, wydobycie go więc jest stanowczo niemożliwe. Ciśnienie wody w tej głębokości jest tak potężne, że nie da się wprost pomyśleć o żadnych pracach, mających na celu wydobycie choćby pojedynczych części „Titanica". Człowiek, który spuściłby się w tem miejscu na dno morskie, miałby na sobie ciężar, odpowiadający dwunastu pociągom towarowym, naładowanym żelazem.

Fatalny dyament. Wśród szczegółów strasznej katastrofy zatopionego okrętu olbrzyma „Titanica" gazety angielskie podają także jeden ciekawy szczegół. Mianowicie pomiędzy utopionymi podróżnymi, znajdował się także posiadacz słynnego „błękitnego brylantu", który od najdawniejszych lat właścicielom swym przynosił zawsze zgubę. Pierwszy znany nabywca „błękitnego brylantu", jeden z sułtanów tureckich, utracił tron. Fatalny dyament nabył od niego żyd hiszpański, Habib, który w drodze powrotnej do domu utonął. Brylant przeszedł na własność królowej francuskiej Maryi Antoniny, która została ściętą przez rewolucyonistów w r. 1793. Po niej odziedziczyła fatalny kamień księżniczka Lamballe, którą zamordował na ulicy tłum paryski. Następny nabywca brylantu, jubiler z Amsterdamu, popełnił samobójstwo. Ostatnim właścicielem „błękitnego brylantu" był Amerykanin, Maclean, z Waszyngtonu, który nabył go przed trzema miesiącami. Maclean znajdował się właśnie wśród pasażerów „Titanica" i wraz z okrętem i fatalnym dyamentem utonął w falach morskich.

Warkocze na usługach policyi. Jak wiadomo, w Chinach znikają już warkocze z głów mężczyzn. Nie należy jednak myśleć, że dziś w Chinach nie istnieją już wcale warkocze. Ten prastary obyczaj ludowy noszenia warkoczy jeszcze długo istnieć będzie, gdyż jest on najbardziej zakorzeniony wśród klas uboższych, a tych jest najwięcej.



Zabawna scena z warkoczami rozegrała się przed niedawnym czasem w Singapore, w Indyach. W mieście tem mieszka wielu Chińczyków, z którymi ma wiele do czynienia tamtejsza policya. Na obrazku powyższym widzimy indyjskiego policyanta, który za jakieś przewinienie aresztował pięciu Chińczyków, a uchwyciwszy ich za warkocze, zaprowadził ich do urzędu policyjnego. Dowcipny policyant zapobiegł w ten sposób ucieczce aresztowanych przez siebie ptaszków, a przytem sprawił ciekawe widowisko przechodniom.

W poszukiwaniu nowej religii. Rząd japoński poszukuje — religii, odpowiadającej nowoczesnym poglądom Japonii. Odrzuciła ona wschodni strój, wschodni obyczaj, pragnie się też wyzwolić od swych dawnych religii. Rząd obawia się, żeby naród, odwróciwszy się od starych bogów, nie popadł w bezbożność, więc pragnie na gruncie dawnych wierzeń zaszczepić chrześcijaństwo, mieszając doń w pewnym stopniu i stare religie. W tym celu rozpisał rząd japoński listy do europejskich duchownych z prośbą o pomoc i o wskazanie mu sposobu w jaki mógłby ułożyć nową religię i narzucić ją ludowi.— Takich usiłowań jeszcze nie było, póki świat światem. Jakkolwiek są niedorzeczne, świadczą jednak o potrzebie wiary, o uznaniu: że nietylko chlebem żyje człowiek.

Elektryczność przeciw złodziejom. W czasach ostatnich udoskonalono bardzo użyteczny wynalazek przeciw złodziejom. Drzwi zamyka się zwyczajnym kluczem, ale wystarcza włożyć go do zamku, aby zaraz w mieszkaniu stróża albo u kogoś innego odpowiedniego wszczęło się gwałtowne dzwonienie. Mieszkanie to naturalnie połączone jest drutem doprowadzającym prąd elektryczny. Jednem słowem przy najmniejszej próbie wtargnięcia do lokalu, aparat elektryczny działa i ostrzega. Coraz trudniej więc złodziejom przychodzi prowadzić swe rzemiosło.

Odporność jeża na jady. Od niepamiętnych czasów utrzymuje się u wielu ludów przekonanie, że jeż znosi bez szkody dla zdrowia i życia ukąszenia wężów jadowitych. W ostatnich latach dwaj lekarze francuscy w istocie przekonali się, że do zabicia jeża, ważącego 445 gramów, potrzeba 20 miligramów suchego jadu żmii, ale ponieważ takiej ilości w obydwu właściwych gruczołach żmija nie ma, a w dodatku za jednem ukąszeniem nie wystrzykuje z siebie całej ilości jadu, jaką ma, przeto łatwo pojąć, że ukąszenie żmiji nie może być dla jeża niebezpiecznem. zresztą żmija może tylko raz jeden ukąsić jeża młodego, bo stary nietylko nie daje się ukąsić, ale jako mocniejszy pożera całą żmiję, jad zaś jej, dostawszy się do żołądka, nie jest szkodliwy.

Maszyna do robienia śniegu. Pisma zagraniczne donoszą, że wynaleziono maszynę do wytwarzania śniegu w gwiazdkach, podobnych zupełnie do naturalnego. Wynalazek ten w handlu spożywczym usunie niewątpliwie wszelkie niedogodności, jakie były dotąd w konserwowaniu ryb, przekładanych lodem, do którego przymarzały, a przy wyjmowaniu z opakowania były zwykle obdarte z naskórka rybiego i mięsa. Śnieg będzie środkiem zabezpieczającym ryby od przymarznięcia i przystępu powietrza. Z tych względów ryby mogą być przechowywane w całości i bez żadnego uszkodzenia od 3 do 6 dni, a nawet dłużej. Wynalazek ten może usunąć ponoszone dotąd znaczne straty podczas upałów.

Podziękowanie Towarzystwu asekuracyjnemu „Wisła“ we Lwowie. Niniejszem poczuwamy się do obowiązku złożenia serdecznego podziękowania jedynemu ludowemu Towarzystwu asekuracyjnemu »Wisła« za nadspodziewanie rychłe i sumienne zlikwidowanie i wynagrodzenie szkody, powstałej wskutek pożaru domu. Już na trzeci dzień bowiem po wypadku przybył ze Lwowa likwidator »WISŁY« i zlikwidowawszy szkodę nader sumiennie, załatwił sprawę odwrotnie tak, że w przeciągu niespełna tygodnia po wypadku mieliśmy już odszkodowanie wypłacone.

Za tę wolną od wszelkich politycznych uprzedzeń rychłą i sumienną pomoc nie mamy dość słów serdecznej podzięki i »Wisłę« jako jedyne prawdziwe ludowe sumienne Towarzystwo szczególnemu zaufaniu i poparciu Braciom Włościanom gorliwie polecamy.

Zabłocie ad Żywiec 14 kwietnia 1912. (163)

Andrzej Pawica. Zofia Pawicowa.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Bilicki: Wierszyk otrzymaliśmy; schowamy go na później, gdyż obecnie trochę spóźniony. — Kazimierz Piękoś w Cz. Treść trochę zabłaha, ale po przeróbce może się da co z tego zrobić Wojciech Tatara w W.: A jaki cennik? — Adam Jesionek w T.: Obydwa utwory przyszły — dziękujemy. — Jan Mozgała w B.: Treść nadesłanej pracy niezła, ale trzebaby wszystko poprawiać, gdyż każde słowo inaczej napisane, jak być powinno. — Józef Jarmuła w Z.: Otrzymaliśmy i damy, albo do Kalendarza, albo dopiero w przyszłym roku, jako w rocznicę. — Władysław Wołowiec w S.: Otrzymaliśmy. — Władysław Cop w N.: Nadesłany utwór miły, czy aby tylko własnego układu. — Józef Kaźmierowicz w K.: O bliższe informacye niech Pan napisze do p. Wojciecha Tylki w Cichem p. Czarny Dunajec, gdyż od niego powyższa wiadomość pochodziła. Piotr Pawłowski z P.: Żądane numera może Pan otrzymać. — Antoni Trebla z K.: List Pański wysłaliśmy do Dyrekcyi poczt. — Józef Pałosz z C.: Za numera należy się 20 hal. Za życzenia dziękujemy. — Andrzej Skóra z W.: Proszę przyjąć wyrazy naszego najszczerszego współczucia w niedoli. Niejednego z rodaków naszych spotkał podobnie smutny los na obczyźnie! — Jantek z Bugaja: Za ładny wierszyk serdecznie dziękujemy i łączymy pozdrowienia. — Marya Prajerówna w L.: Za nadesłany utwór dzięki — na resztę listownie.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Krzanowski).

Pierwsza z jedną głoską drugiej
To roślina w smaku ostra,
Lubi każdy, lubię i ja,
Gdy mi ją przyrządzi siostra.
Sama druga zaś odmiana
Jest księżyca; każdy to wie.
Całość miasto:
Niedaleko przy Krakowie.

2. SZARADA.

(Ułożył Paweł Tarasek z K.).

Pierwsza i druga, razem czytane,
Imię niewiasty z Biblii znane,
Pierwsza i tudzież koniec trzeciego,
To jest nazwisko króla polskiego,
Druga z trzeciego i czwarta cała,
To jest skrzydlata istota mała,
Słabs litera początek trzecie,
Całość to miasto na ziemsuim świecie.

3. TAJEMNICZE BILETY.

(Ułożył Piotr Bochnia).

a)

Leon Grzik

Odgadnąć zawód tej osoby.

b)

Iwan Brokk

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

c)

Ewa Sojar

Odgadnąć gdzie ta osoba mieszku.

4. SZARADA.

(Ułożył Fr. Zydroń).

Pierwsze trzecie wszyscy macie,
Ciężary na nich dźwigacie,
Trzecie pierwsze też jadacie;
Druga trzecia bite szlaki,
Całość król. Któżto taki?

5. SZARADA.

(Ułożył Fr. Zydroń).

Pierwsza pierwszą w liter rzędzie,
Druga rzeką jest i będzie.
Całość wszyscy dobrze znacie,
W pacierzu ją wymawiacie.

6. ŁAMIGŁÓWKA ŁITEROWA.

(Ułożył Tomasz Dziewit).

A, a, a, a, B, b, C, c, c, c, d, d, d, e, e, e, e, e, e, e, e, e, ę, ę, ę, g, g, i, i, i, i, i, i, i, i, j, j, k, k, ł, ł, ł, m, m, m, n, n, n, n, n, o, o, o, o, o, s, s, ś, t, t, t, u, u, u, u, u, u, y, y, y, z, z, z, z, z, z.

Z tych liter ułożyć dwa znane przysłowia polskie i podobnie znaczące.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 11 maja 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 16 »Roli«: 1) Szarada: **Racławice.** 2) Tajemniczy bilet: **Rezerwista.** 3. Przeplatanka: **Czem chata bogata, tem rada.** 4) Przeplatanka: **Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces.** 5. Szarada: **Stopień.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Piotr Bochnia z T., Anna Żebrok z B., Franciszek Zydroń z W., Tomasz Dziewit z M., Adela Bezokówna z K. M., Wojciech Tatara z W., Józef Krzemień z W., Wł. Dziwisz z K., Zofia Oraczewska z Ż., Fr. Kellner z P. L., Józefa Hirszberg z K., Karol Suchanek z W. G., T. Chara z S., J. Waszek z J., Jan Małkowicz z B., Franciszek Teper z M. K., Andrzej Budziński z B., Józef Adamczyk z S. W. (wierszem),

Pierwszą nagrodę p. t. *Z chłopskiej niwy* wylosowała p. **Adela Bezokówna** z K. M., zaś drugą p. t. *Chata wuja Toma* p. **Karol Suchanek** z W. G.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 30 kwietnia

Pszenica	Kor.	11 60	do	11·95	za	50 kg.
Żyto	„	9·90	„	10 65		„
Jęczmień	„	9.10	„	9·65		„
Owies	„	9 60	„	10 30		„
Otręby pszenne	„	8·—	„	8·10		„
Otręby żytnie	„	8·—	„	8 10		„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 30 kwietnia:

Buhaje	Kor.	152	do	412	za	sztukę
Woły	„	400	„	485		„
Krowy	„	152	„	300		„
Jałówki	„	90	„	200		„
Cielęta	„	28	„	68		„
Owce i kozy	„	—	„	—		„
Świnie bita waga)		50	„	164	za	50 kg.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP. Władysław Gniewosz z K. 10 K. — Jędrzej Skóra z B. 4 K. — Antoni Homa z M. 2 dolary.

Oprócz tego nadesłali PP.: Jędrzej D. Ciepiela z M. 1 K. — Wawrzyniec Zdebiak z O. 1 K. — Stanisław Bodzenta z K. 1 K. — Wojciech Wlazło z K. 1 K. Jan Mars z M. 2 K. — Eustachy Bartosiewicz z P. 1 K. — Ludwik Króżel z P. 1 K. — Kółko rolnicze z Z. 2 K. — Jan Tomczuk z S. 1 K. — Wojciech Szpunar z A. 1 K. Wojciech Cywicki z Z. 2 K. — Karol Boksa z D. 2 K. — Józef Kadela z N. 1·70 K. — Jan Pawlik z B. 2·40 K. — Kazimierz Robaczyński z K. 2 K. — Józef Fielek z P. 2 K. — Władysław Dudek z N. 2·50 K. — Franciszek Łukoś z B 2 K. — Jan Krentosz z Br. 2 K. — Polański W. z L. 3 K. — Zarząd Kółka roln. z H. 3 K. — Jan Stanio z R. 3 K. — Józef Sabat z M. 3 K. Andrzej Roga z W. 3 K. — Marya Cierniakówna z B. 4 K. — Kazimierz Gać z W. 1 K. — Łukasz Żarzycki z Ł. 2 K. — Piotr Bobulski z N. 2 K.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.